

SOKOLIKI

LUDZIE BIESZCZADZKIEGO LASU

SPIS TREŚCI

- | | | | |
|-----|---|-----|--|
| 7 | Wstęp | 135 | Kandela –
wózak od niedźwiedzia |
| 12 | Sokoliki jak Kanada | 145 | Władek „Dobre, bo gorące!” |
| 38 | „Columbo” | 151 | Józek Janiec –
wchłonięty przez Bieszczady |
| 44 | Zbyszek,
zwany „Szymkiem” | 154 | „Dudek” – bieszczadzki
Himilbach |
| 47 | Gajowy Ziutek | 159 | Jacek, czyli warszawiak
w lesie |
| 51 | Kaziu Nóżka –
zaczynał na Sokolikach | 164 | Iza – kolorowy ptak
w szarej rzeczywistości |
| 57 | Helena | 170 | Witek – indywidualista
z psem |
| 64 | „Przyjaciół” | 175 | Toni – leśnik, goprowiec,
artysta |
| 67 | Zbyszek –
w Żłobku urodzony | 180 | Tadek „Pustelnik” |
| 73 | Mnichu | 186 | Leśniczy Drzazga
z Widełek |
| 77 | „Szachista” | 190 | Leśniczy Józef |
| 82 | „Brylancik” | 195 | Grzesiek –
bieszczadzka
historia radomiaka |
| 87 | Zrośnięty z lasem | 199 | „Indianin” z Warszawy |
| 93 | „Rudy” | 205 | Marunia |
| 97 | Kazik „Forma” | 208 | Mariusz „Wodzu” |
| 104 | Dziadek Obłój | 211 | „Murzyn” |
| 109 | „Łysy”,
co był kiedyś drwalem | 214 | Maniuś traktorzysta |
| 113 | Adaś drwal | 219 | Sokoliki po latach |
| 117 | „Reksio”
od wściekłego wilka | | |
| 120 | Siekiernik z wyboru | | |
| 125 | Czesiek rzeźbiarz | | |
| 131 | Szczepan –
chłopak z Jaworzna | | |



WSTĘP

Moje „Sokoliki” nie mają charakteru uporządkowanych wspomnień, to raczej motywy, wokół których przez pewien czas kręciło się moje życie. Zebrałem je w książkę przede wszystkim dla siebie i znajomych, by ulotna pamięć nie zagubiła zdarzeń, miejsc i ludzi dla mnie ważnych.

Wiele z tych opowieści obraca się wokół Mucznego i doliny Sanu. Po latach bowiem widzę, jak ważne były dla mnie czasy, gdy pracowałem jako podleśniczy na Sokolikach, jakich ciekawych ludzi miałem szczęście poznać i ile się od nich nauczyłem.

Gdy próbowałem nadać tej książce tytuł, przychodziło mi do głowy mnóstwo pomysłów, ale w końcu tylko jeden wydał mi się sensowny – „Sokoliki – ludzie bieszczadzkiego lasu”. Sokoliki to bowiem nie tylko nazwa nieistniejącej wsi, nie tylko leśnictwo w Nadleśnictwie Stuposiany. Sokoliki to też coś nienazwanego, ale wciąż żyjącego we mnie. Sokoliki to również ludzie z polotem i niezwykłymi biografiami, może nie zawsze orły czy sokoły, ale właśnie... sokoliki.

Przez to leśnictwo, a także sąsiednie zaprzyjaźnione: Bukowiec i Sianki, przetoczyły się setki ludzi. Niemal każdy z nich to osobowość, która zapada w pamięć, choć nie każdy znalazł się w tej książce. Wielu nieopisanych tu zachowam w do-
brych wspomnieniach: „Harnasia”, który tracił mowę po wódce, Mariana, co miał łapę jak niedźwiedź, Władka, zwanego Zbyszkiem, co ruskim pogranicznikiem świsnął motocykl i przez dwa lata unikał odpowiedzialności...

Osobne opowieści można snuć o Wieśku Wicherku, co go wicher przywał wraz z wielką lotnią aż ze Szczecina, ale niepomysłne – nomem omen – wiatry wyгнаły go po jakimś czasie w nieznaną. O Szczepanie, który pracował wcześniej w Radocynie i pomógł mi rozwikłać tajemnicę pewnego strażnika leśnego z Beskidu. Wreszcie o braciach Waclawikach, którzy na zimę ściągali do lasu, a latem trudnili

się wypasem owiec. Do dziś pamiętam wskazówki jednego z nich – Antka – dotyczące szczypania i ciosania drewna siekierą.

Tamte Sokoliki miały dla mnie zapach świerkowej żywicy i dymu z komina koliby, smak jagód, jeleniego mięsa po wilkach i ślimaków pieczonych na blasze kuchennej, w uszach zaś dźwięczały jękiem pilarek użalających się nad schnącymi od korników świerkami i zgrzytaniem motyk o kamienie przy sadzeniu nowego lasu.

Odchodziłem stamtąd z żalem, że kończy się wielka przygoda, ale ciągle wracam w dolinę górnego Sanu. Widząc zmiany, jakie zaszły w minionych dziesięcioleciach od Stuposian po Sianki, chcę w tych opowieściach zatrzymać trochę pędzący czas i podzielić się nim z Czytelnikiem.

Dopiero pisząc kolejne historie, z zaskoczeniem zauważyłem, że miałem dość bogate życie i wielu wspaniałych ludzi wokół. Żal, że niektórzy już odeszli, a świat zupełnie o nich nie wie. Czuję się zobowiązany, by przypomnieć o nich na kartkach tej książki.

Oczywiście nie wszystko jest na sprzedaż, więc sporo szczegółów zachowałem dla siebie. Ale mimo to Czytelnik znajdzie tu wiele faktów, ale i niedopowiedzeń, które nosiłem w sobie przez długi czas.

Sokoliki opuściłem wiele lat temu. Choć innymi już szumią drzewami i ludzi niewiele tam teraz znam, wciąż wracam do tych miejsc znajomych sprzed lat. Ludzie z tamtych czasów ożywają wówczas w mojej pamięci. Im właśnie – leśnikom, drwalom, wozakom i wypalaczom węgla drzewnego, przyjaciołom – tym żyjącym, jak również pamięci tych, którzy odeszli, poświęcam tę książkę.



Do 1981 roku na mapie Bieszczadów dolina górnego Sanu jawiła się jako obszar bezludny i bezdrożny. W oczy rzucają się nazwy miejscowości zmienione w 1977 roku. Droga w kierunku Sianek (Sanniki) wówczas kończyła się na potoku Halicz. Nie była ona jednak dostępna dla ruchu turystycznego.



SOKOLIKI JAK KANADA

Sokoliki po raz pierwszy

To nie przypadek, że przemieszkałem i przepracowałem w dolinie górnego Sanu parę ważnych dla mnie lat. Zaczyn pączkował jeszcze w czasach szkolnych. W kwietniu 1978 roku załapaliśmy się w kilku „Wędrusiów”¹ na wycieczkę przewodnicką do Przełęczy Użockiej. Autokar z PTTK Lesko wywiózł nas wówczas na Przełęcz Bukowską, dokąd prowadziła wybudowana w 1972 roku droga. Była ona wtedy jeszcze sporą nowością, a możliwość przewędrowania „worka” z grupą wytrawnych przewodników to była nie lada gratka.

Przejsie granicą od Przełęczy Bukowskiej przez Kińczyk i Opołonek do źródeł Sanu i powrót przez chaszczę Sianek, Beniowej i Sokolików odbywało się pod nadzorem WOP, siedł z nami por. Skrzypek, późniejszy major i dowódca strażnicy WOP w Lutowiskach.

Droga na Bukowską była ukończona zaledwie kilka lat wcześniej, a Bieszczadzki PN jeszcze bez większych problemów udzielał zgody na wjazd autokaru. Gorzej było załatwić zgodę WOP. Z kolei droga z Muczego (wówczas osada nosiła nazwę Kazimierzowo) dochodziła wtedy do potoku Wołowiec, a Halicz i wszystkie potoki po drodze od Przełęczy Użockiej trzeba było sforsować brodem.

Pamiętam, że deszcz rzęsiście uniemożliwił robienie zdjęć, nasze kangury szybko przepuściły wodę i najbardziej sucho mieliśmy... w ustach.

Szliśmy wzdłuż „sistiemy” do źródeł Sanu, mając po prawej wieżyczki, z których strażnicy przyglądali się nam nieprzyjaźnie. Zabronione były jakiegokolwiek gesty, mogące być uznane za prowokacyjne.

1. Klub turystyczny działający w Technikum Leśnym w Lesku.



Autor jako podleśniczy na Sokolikach, zima 1981 roku

Poszukiwanie „grobu Hrabiny” trwało nieco, ale byli wśród nas tacy, którzy tu już wcześniej zaglądali, jak choćby Roman „Fred” Frodyma z Jasła, więc się udało.

Złało nas wtedy okrutnie, na ostatnich nogach dowlekliśmy się do leśnej bazy pod Kiczerą Sokolicką, gdzie zaskoczył mnie widok ładnej chatki. Nieopodal czekał już autokar, który zdążył zawrócić, a kierowca dobrze się poznał z drwalami, którzy tę niedzielę spędzali w lesie, głównie na poszukiwaniu zrzutów.

Niektórzy uczestnicy naszej wycieczki też mieli trochę szczęścia i nieśli łącznie pewnie z 10 tyk poroża. Największą, naprawdę ogromną, sztukę znalazł Jasiu Papięż. Gdy drwale z Sokolik ją zobaczyli, obskoczyli go, wy pytując, gdzie jest druga, gdzie ta została znaleziona? Później dowiedziałem się, że szukano tej tyki do pary przez kilka dni bezskutecznie.

W drodze powrotnej dostąpiliśmy zaszczytu picia herbaty w wojskowej stołówce w jednej z osad leśnych w Muczmem, gdzie już wówczas urzędowali żołnierze MSW, a hotel robotniczy był w remoncie pod potrzeby dygnitarzy z URM. Do tej herbaty dostaliśmy też wkładkę rozgrzewającą, co dla nas kilku, nieletnich wówczas, też było przygodą.

Żołnierska kuchnia mieściła się w jednej z leśnych osad, zabranych na potrzeby wojska, a stołówkę urządzono nam w budynku gospodarczym.



W drodze z Mucznego na Sokoliki do odbiórki drewna

Prezentacja dziennego urobku – Maniek, autor „Malina” i „Harnaś”





KAZIU NÓŻKA – ZACZYNAŁ NA SOKOLIKACH

W swoich opowieściach nie mogę pominąć tego sympatycznego leśnego celebryty, bo jego związki z Sokolikami są bardzo mocne. Przede wszystkim jest synem leśniczego, który kiedyś, w latach 60. i 70. XX wieku, zarządzał lasem od Mucznego po Sianki. Opowiadał mi Kaziu, jak do dawnej koliby w Mucznej, będącej wówczas jedynym obiektem w wyludnionej dolinie, zajeżdżali całą rodziną furmanką, by po noclegu pójść zbierać jagody na Bukowym Berdzie.

– Koliba służyła wówczas leśnikom i myśliwym, było obok niej zadaszenie dla koni, kilka pryczy, reszta spała na sianie lub podłodze, i koza dająca ciepło. Spędziłem tu parę nocy w młodości – wspomina po latach.

Znałem Kazia z czasów szkoły leśnej, bo zwracał uwagę swoim specyficznym dowcipem i sposobem bycia. Był silnym punktem mocnej klasy, z której wyszło wielu porządnych ludzi, niezależnie od tego, czy zostawali później kapitanami żeglugi wielkiej, aktorami czy też życie im między drzewami wypadło. To była klasa, której najlepszą ilustrację stanowiła fraszka: „To jest nasza leśna szkółka, w której rosną same ziółka”, napisana zresztą przez jednego z Kazia kolegów.

Trochę zaskoczyło mnie, gdy w 1980 roku, będąc na praktyce wakacyjnej, spotkałem go właśnie na Sokolikach. Kończył staż i dostawał akurat patki podleśniczego. Chodził niezmiennie w panterce typu deszczyk, w takiej zresztą widać go na zdjęciu przed sklepem w Stuposianach w towarzystwie kilku gigantów sprzed lat.

– Na Sokolikach trzeba było umieć żyć i współpracować z ludźmi przez cały tydzień, bo mieszkano się z drwalami od poniedziałku do soboty – zaznacza – Jak trzeba było, to się pomagało w robocie, gotowało jedzenie, grało w karty, a i wódkę



Kaziu z TVP

Kaziu na Korbani (fot. Ewa Wyrzyńska-Scelina, archiwum KN)





„Łysy” umie „rozmawiać” z siekierami

– To był dla mnie trudny czas, wstawałem o czwartej rano, by pierwszym autobusem z Czarnej dotrzeć do Stuposian, skąd osinobusem „Pełdiak” wieziono całą grupę na Sianki. To było ponad półtorej godziny jazdy w jedną stronę.

Przez całe dni ścinał podsychające świerki, rznął w metry, składał w stopy papierówkę. Wiosną, jak mówili pilarze: „na miazdze”, korował ją na biało. Dochodził w tym do wielkiej wprawy i już nikt nie mówił, że Łysy jest słaby w lesie.

– Gdy wydawało mi się, że już wszystko umiem, spotkała mnie dramatyczna przygoda. Zdarzyło się to tęgą zimą, pracowałem wtedy nad Rzeczą, podczas przerzynki kłód bukowych ładowanych na stejera. Pękł przewód hydrauliczny, co spowodowało, że chwytak wypuścił z wysokości 4-5 metrów kloca na 2 kubiki, a ten odbity od mygły, toczył się, toczył prosto na mnie. Śmierć zajrzała w oczy, bo pewnie przygniótłby mnie i zwałkował, gdyby nie wysoki śnieg, w który się wgniotłem. Poczulem tylko lekkie muśnięcie po grzbiecie i łoskot cichnący, gdy kloc skrzyżowany z innym zatrzymał się. Kierowca i operator byli bladzi. Podobno, jak mi powiedział kierowca, krzyknąłem jeszcze: „ładny ch..!”



U „Łysego” w pracowni

Doświadczenia nabierał głównie samodzielnie, bo najczęściej pracował w pojedynkę, więc nie miał nawet pomocnika, który by mu tyczką drzewo ścinane ukierunkował. Wymyślił wtedy kutą kotwicę z kilkunastometrową linką, która zarzucona na wyższą gałąź i zadziergnięta, pozwalała obalane drzewo zmusić do upadku w żądanym kierunku.

– To była dość tęga kotwica, miała z półtora kilo, więc śmiali się ze mnie, że idę do lasu jak na wieloryba, ale skuteczność tego rozwiązania wciąż pozostaje moim nieopatentowanym wynalazkiem – wspomina Łysy.

Bardzo dbał zawsze o narzędzia, do dziś podziw budzą mistrzowsko opravione siekiery, z „czule” zabezpieczonym trzonkiem, owiniętym dratwą.

Nie umiał nigdy marnować czasu. Gdy lało, wiało albo gdy mróz sięgał 30 stopni, siadał na zydlu w swym warsztacie i rzeźbił. Diabełki, świątki, płaskorzeźby, sprzedawane turystom, dawały również godziwy zarobek. Nie unikał robót „politycznych”, jego dziełem był potężny kilkunastometrowej długości magazyn chłodnia na sadzonki w leśnictwie Widelki. Zmajstrował go wyłącznie przy użyciu pilarki. Za zarobione wtedy pieniądze kupił działkę w Czarnej i zaczął budowę domu.



Adaś jak prorok

Nie miał jednak szczęścia do ludzi. Pewnego sylwestrowego wieczoru został dziabnięty nożem pod żebra przez nie zrównoważonego pracownika BdPN. Ledwo się wylizał, ale do dawnej sprawności już nie wrócił. Został mu ciągle ciągnięcie do alkoholu i towarzystwa, stąd często można go było spotkać pod sklepem w Górnych. Staczał się wyraźnie, jak wielu przed nim.

Ale przyszedł czas, że Adaś skończył z piciem zupełnie. Nawet palenie rzucił. Sporządzał, zaczął książki czytać, zmienił tryb życia...

Od 2008 roku spotykałem go w Lutowiskach na corocznym Dniu Żubra lub Targach Końskich. Już wtedy nie pił alkoholu, ale zazwyczaj siadaliśmy razem na pierogi.

– Zjemy porcję na pół, jak kiedyś się piło flaszkę we dwóch – dyrygował.

Jako rencista mieszkał wtedy w hotelu robotniczym na Wołosatem. Dorabiał zbieraniem grzybów i jagód.

Do dziś dzwoni do mnie przy jakichś okazjach lub też bez wyraźnej przyczyny. Napisałem o nim kiedyś wiersz „Adaś drwał”, a Mariusz Wdowin skomponował muzykę i powstała piosenka. Taki mój mały pomniczek dla sympatycznego człowieka, którego wchłonęły Bieszczady.

Posłuchajcie: <https://www.youtube.com/watch?v=0b3XFwPMEQA>.

Łatwo znaleźć w sieci piosenkę Mariusza Wdowina „Adaś drwał”.





Z Witkiem na kolibie. Ten piesek to dog Czort, nie Aga

Z Witkiem w trakcie wędrówki na Bukowe przez Obnogę





Toni – „tańczący z bobrami”

